

Zdzisław M. Rurarz

Z czym do wyborów?

Wydawnictwo Panorama
Chicago, 2005

U w a g a !

Tekst, bez mojej wiedzy i zgody, został przez Wydawcę skrócony o 15 procent, w wyniku czego zniknęło z niego wiele istotnych faktów. Zmieniona została też kolejność 3-ch z 4-ch rozdziałów oraz tytuły 3-ch rozdziałów, a jeden tylko częściowo.

Druk i oprawa: Panorama Publishing
3104 N. Cicero
Chicago, IL 60641
Tel. (773) 685-0406

Rozdział I

POLSKA, a nie Rzeczpospolita!

Rzeczpospolita Polska, to dość osobliwa jak na XXI stulecie nazwa państwa z zamieszkującym go od ponad tysiąca lat Narodem Polskim. Nazwa „Rzeczpospolita”, wzięła się łacińskiego określenia „Res Publica”, oznaczającego „Republikę”. W dosłownym tłumaczeniu na polski „Res Publica” powinna raczej brzmieć „Rzeczpubliczna”, pisana razem lub osobno. Tak jednak nie stało się i może dlatego, że „Rzeczpubliczna” mogłaby kojarzyć się z „domem publicznym”, choć w Polsce, w połowie XV wieku, kiedy nazwa „Rzeczpospolita” zaczęła się upowszechniać („Rzeczpospolita szlachecka”), przybytek ów nie był jeszcze znany.

Jakkolwiek nie było „Rzeczpospolita”, nazwa Państwa Polskiego, będącego wówczas monarchią niekonstytucyjną, przyjęła się. Adam Zamoyski, amerykański historyk polskiego pochodzenia, w związku z tą nazwą zauważa w swoim dziele z 1988 r. pt. „The Polish Way”, że współistnienie monarchii z republikanizmem było paradoksem. Ale cytuje też pogląd, że miało ono również swoje dodatnie strony, łącząc w jedno monarchię, oligarchię i demokrację.

Nie wchodząc w szczegóły jak z tymi „dodatnimi stronami” było naprawdę, faktem jest, że nazwy „Rzeczpospolita” zaczęto używać już na dobre od 1569 r., od Unii Lubelskiej, kiedy to pozostające ze sobą od 1386 r. w luźnym związku Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie połączyły się na następne ponad dwa stulecia w „Wielonarodową Rzeczpospolitą”, Państwo „Obojga Narodów”.

Nazwa „Rzeczpospolita”, niestety, nie brzmi zbyt wdzięcznie dla polskiego ucha, kojarząc się z „pospółstwem”, „pospolicością” lub „pospolitowaniem się”, określeniami o *ujemnym* wydźwięku. Ale ponieważ określenie „pospolite ruszenie” miało z kolei wydźwięk dodatni, więc obrana nazwa pozostała. Przynajmniej na razie, gdyż w kraju pojawiło się ostatnio określenie „Rzeczpospolita” i kto wie, czy nie zrobi ono kariery.

Na obecną nazwę Państwa Polskiego, trzeba więc spojrzeć od nowa, żeby nie wywoływała żadnych skojarzeń o *ujemnym* wydźwięku. Tym bardziej, że ostatnie osiem dziesięcioleci I Rzeczypospolitej nie przyniosły jej chwały. Za dziesięć lat – przypomnijmy – „stuknie” nam przecież 300 rocznica brzemiennego skutki wydarzenia, jakim było podstępne wprowadzenie przez Augusta II huzarów ze swojej rodzimej Saksonii do Korony, czyli Polski. Jako króla I Rzeczypospolitej trudno byłoby go za ten czyn nazywać „obcym agresorem”, ale konsekwencje tego okazały się z czasem *zgubne* dla I Rzeczypospolitej. Przeciwno królowi związała się bowiem tarnogrodzka konfederacja, a ponieważ zwaśnione strony sporu nie mogły rozwiązać, więc zwróciły się o mediację... do Rosji! Rosja skwapliwie z tej prośby skorzystała i do już stacjonowanych w Polsce wojsk saskich dorzuciła jeszcze 18-tysięczny kontyngent własnych wojsk.

W cieniu obcych wojsk Sejm, zwany „niemym”, podjął 1 lutego 1717 r. uchwały, których zapewne *nie podjąłby* w innych okolicznościach. Nie chodzi nawet o to, że były to złe uchwały, ale o sam fakt podjęcia ich w *niesuwerennych* warunkach.

Utrata pełnej suwerenności przez I Rzeczpospolitą, nawet jeśli początkowo dotycząca tylko władzy ustawodawczej, była rzecz jasna na rękę Rosji, Prus i Austrii, późniejszym jej grabarzom. W prostej linii prowadziła bowiem do utraty niepodległości I Rzeczypospolitej, zwłaszcza że Rosja, najaktywniejsza z pośród „Wielkiej Trójki Zaborczej”, nie poprzestała na incydencie z 1717 r., systematycznie i podstępnie pozbawiając odtąd I Rzeczpospolitą resztek jej suwerenności. Sama nie mając parlamentu, popierała „liberum veto” w Sejmie, a władzę wykonawczą I Rzeczypospolitej podkopywała jak tylko mogła. Ukoronowaniem jej ingerencji w sprawę I Rzeczypospolitej stało się wreszcie jawne już osadzenie na polskim tronie przedstawiciela Familii, „rosyjskiej partii”, byłego kochanka Katarzyny II, Stanisława Augusta Poniatowskiego. Do-

szło nawet do tego, że ambasador rosyjski próbował wtedy niemal otwarcie kierować Państwem Polskim, a na doitkę, w latach 1768-1772, podczas Konfederacji Barskiej, kiedy to doszło do wojny domowej w I Rzeczypospolitej, udział w niej, po stronie króla, wzięły wojska rosyjskie!

Nie wchodząc w ocenę, po której z walczących stron leżała racja, sam fakt tak już *otwartej* ingerencji obcej w sprawę państwowości polskiej był niesłychany i jak potem okazało się bynajmniej nie izolowany.

Nic dziwnego więc, że w powstałej sytuacji Rosja, Austria i Prusy dokonały w sierpniu 1772 r. pierwszego rozbioru I Rzeczypospolitej i to *bez* oporu i protestu z jej strony. Król nie próbował nawet podejmować jakiegokolwiek kontrakcji, a Sejm posłusznie ratyfikował rozbiór, pozbawiający I Rzeczpospolitą obszaru o powierzchni 208 tys. kilometrów kwadratowych, zamieszkałego przez ponad 4,5 mln ludzi, czyli niemal *połowę* jej ówczesnej ludności! Prawda, „Król Staś” sprawił potem Rosji przejściowy zawód, chcąc po prawie 30 latach swojego panowania odzyskać nadszarpniętą mocno suwerenność I Rzeczypospolitej, ale na to czasu już mu nie starczyło. Zdażył jeszcze przeforsować 3 maja 1791 r. Ustawę Rządową, zwaną Konstytucją Majową, ale wprowadzić jej w życie już nie mógł. Szkoda tylko, że zamiast stanąć wtedy na czele walki nie tylko o pełną suwerenność I Rzeczypospolitej, ale teraz już o jej ginącą niepodległość, wyjechał do Petersburga na wezwanie Katarzyny II i uamrl tam w zapomnieniu.

Czy po tej gorzkiej lekcji historii, Polacy, w Marcowej Konstytucji z 1921 r., uchwalanej już w niepodległym od prawie 2,5 lat odrodzonym po 123-letniej niewoli Państwie Polskim, powinni byli powracać do nazwy „Rzeczpospolita”? Tym bardziej, że w ostatnim i najwyższej wagi dokumencie ginącej I Rzeczypospolitej, w Konstytucji Majowej, o Rzeczypospolitej wspomina się tylko dwukrotnie i *wyłącznie* w kontekście „Państw Rzeczypospolitej”. Mówi się w niej o „Polsce”, „Koronie Polskiej”, o „Ojczyźnie” i „Narodzie”, nie uściślając, czy chodzi tu o „rzeczpospolitowe” podmioty czy tylko wyraźnie „polskie”, aczkolwiek one jedynie wydają się jasno wynikać z treści Konstytucji.

Polacy, w każdym razie, powrócili w marcu 1921 r. do nazywania Państwa Polskiego „Rzeczpospolitą”. W Preambule Kon-

stytucji Marcowej stwierdzono, że jest ono „Rzeczpospolita Polska” i to samo powtórzono w jej Artykule 1 i Artykule 2.

W podobnym duchu wypowiedziała się również Konstytucja Kwietniowa z 1935 r., ale już krócej i skromniej. Określenie „Rzeczpospolita” występuje wielokrotnie, ale niemal wyłącznie przy okazji wyliczania uprawnień i obowiązków „Prezydenta Rzeczypospolitej”. W Artykule 1 Konstytucji Kwietniowej, nie tak jak w Konstytucji Marcowej, stwierdza się natomiast, że „Państwo Polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli”, czyli *nie tak* jak w Marcowej, że jest „Rzeczpospolita”.

„Rzeczpospolitowy” charakter Państwa Polskiego uległ więc w Konstytucji Kwietniowej rozwodnieniu, a na czoło wyszły osoba Prezydenta Rzeczypospolitej i rola Państwa, którego „siłę i powagę” obowiązane było „wzmacniać każde pokolenie”.

Nie to było jednak najważniejsze, ale fakt, że od Konstytucji Marcowej rozpoczął się *nieszczęsny* zwyczaj „numerowania” kolejnych Rzeczpospolitych, a więc ta sprzed 1795 r. została I Rzeczpospolitą, a jej następczyni została II Rzeczpospolitą.

Prawda, II Rzeczpospolita nie była odtworzeniem monarchistycznej I Rzeczypospolitej, tylko autentyczną republiką, w której suwerenem był nie stan szlachecko-magnacki, jedna dziesiąta narodu, ale już *cały* naród, choć z drugiej strony, mimo jej wielonarodowego charakteru, nie była ona żadną „Rzeczpospolitą Państw”, jak to było z I Rzeczpospolitą.

Co więcej, II RP, nie tak jak I RP pod koniec swojego istnienia, była w *pełni* suwerennym Państwem Polskim, choć krótkotrwałym i już nigdy nie odrodzonym. Po klęsce wrześniowej władze emigracyjne zachowały nazwę „Rzeczpospolita”, ale przecież nie im przyszyło ją odradzać po II wojnie światowej. Stworzona z inicjatywy Stalina „demokratyczna Polska”, obwieszczona Polakom i światu 22 lipca 1944 r. przez 15-osobowy PKWN, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, nazwę „Rzeczpospolita” zachowała, ale już bez „numeru” porządkowego. Nowonarodzona RP nie była bowiem ani odtworzoną II RP, ani tym bardziej III RP, a jedynie „Rzeczpospolitą Polską”, opartą jakoby o Konstytucję Marcową z 1921 r. W osiem lat później została przemianowana na Polską Rzeczpospolitą Ludową, która formalnie trwała przez następne ponad trzydzieści siedem lat.

I oto w piątek 29 grudnia 1989 r., na sesji „kontraktowego”

Sejmu, w 1/3 wybranego w wolnych wyborach pół roku wcześniej, przywrócono Państwu Polskiemu jego tradycyjną nazwę – „Rzeczpospolita Polska”.

Posłowie, uniesieni swoim wyczynem, odśpiewali Hymn Narodowy, który zresztą żadnym „poprawkom” nie był poddany za czasów RP/PRL, jak to było z Białym Orłem, któremu zdjęto koronę.

W dniu następnym, reaktywowany „okrągłostołowymi porozumieniami” Senat, już w całości pochodzący z wolnego wyboru i w 99 procentach składający się z „solidarnościowców”, dokonując w wyniku decyzji Sejmu nowelizacji Konstytucji PRL z 22 lipca 1952 r., uznał ją przy tej okazji za... Konstytucję odtworzonej Rzeczypospolitej Polskiej! Senatorowie, zauroczeni „historyczną chwilą”, wstali z ław i odśpiewali „Boże coś Polskę”, w wersji „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie”, a *nie* „przywróć Panie”. Niby i przedtem też tak śpiewano w kościołach za czasów RP/PRL, choć nie zawsze i wszędzie. Teraz śpiewano już „jak należało”. Tyle tylko, że godzi się przypomnieć, że religijno-patriotyczna pieśń „Boże coś Polskę” z 1816 r., ze słowami Alojzego Felińskiego, w swojej oryginalnej wersji, śpiewanej przez senatorów rodzącej się III RP, była hymnem wiernopoddańczym na cześć „króla polskiego”, którym był wtedy ... rosyjski car Aleksander I, głowa Imperium Romanowów! Narodzone rok wcześniej Królestwo Polskie, „kongresówka”, na czele którego stanął, miało co prawda znaczną autonomię w ramach Imperium, ale przecież było ono jego integralną częścią i *żadną* „wolną Ojczyzną polską” nie było!

Pikantności temu niecodziennemu wydarzeniu, jakim było zniknięcie RP/PRL i powstanie kolejnej Rzeczypospolitej Polskiej, wkrótce obiegowo opatrzoną kolejnym „numerem” i nazwaną III RP, dodaje fakt, że decyzje Zgromadzenia Narodowego musiał ktoś podpisać. Kto? Ano, gen. Wojciech Jaruzelski, 19 lipca 1989 r. wybrany przez Zgromadzenie Narodowe przewagą jednego głosu na reaktywowany urząd prezydencki. Państwo Polskie – przypomnijmy – nazywało się wtedy jeszcze PRL. Jaruzelski, podpisując decyzje Zgromadzenia Narodowego, tworzące III RP, w okamgnieniu przeistoczył się teraz w jej prezydenta! Tym samym stał się on faktycznie jej *głównym* twórcą!

RP/PRL, mimo swojej ułomności, niewątpliwe Państwo Pol-

skie, istniejące przez ponad czterdzieści pięć lat, nagle więc zniknęło bez śladu. Czy tak istotnie było czy nie zostawmy chwilowo bez komentarza, ale niemniej zadajmy sobie pytanie, czy następczyni RP/PRL musiała koniecznie być kolejną Rzeczpospolitą Polską, a nie po prostu POLSKĄ? „Rzeczpospolita”, co gorsza, wydaje się jakby nazwą „zapeszoną”, gdyż zarówno I RP, jak i II RP zniknęły ze sceny dziejowej w niezbyt chlubny sposób. Poza tym, że są przecież państwa bez żadnych dodatków w swych nazwach.

Tak na przykład, USA zachowują od chwili ogłoszenia swojej niepodległości w 1776 r. *niezmienną* nazwę swojego państwa. Związkowe państwo kanadyjskie nazywa się „Kanadą”, japońskie konstytucyjne cesarstwo „Japonią”, a federacyjne państwo rosyjskie używa wymiennie dwóch nazw: „Rosja” lub „Federacja Rosyjska”, z oboma nazwami *jednakowo* oficjalnymi. Inne tego rodzaju państwa to m. in. Bośnia i Hercegowina, Chorwacja, Gruzja, Irlandia, Nowa Zelandia i Rumunia.

Cóż więc za powód mieli „kontraktowi” posłowie, żeby powracać do nazwy „Rzeczpospolita”? Czyżby kojarzyli ją z mocarstwowością „rzeczpospolitowego” państwa polskiego?

Jeśli tak, to nie mieli racji, gdyż z mocarstwowością I Rzeczypospolitej, nawet u szczytu jej potęgi, nie było aż tak dobrze. W pierwszym ćwierćwieczu XVII stulecia, I RP, po Rosji terytorialnie największy kraj w Europie, liczący ok. 1 miliona kilometrów kwadratowych i zamieszkały przez ok. 11,5-milionową ludność, po Francji i Cesarstwie Niemieckim kraj najludniejszy na Starym Kontynencie, nie miał *nigdy* większej armii niż 56-tysięczną. Tymczasem zaś mniej ludne od niej państwa, jak Hiszpania, mająca o 3,5 mln mniejszą ludność, miała 300-tysięczną armię, a ponad 10-krotnie mniej ludna Szwecja w połowie XVII wieku miała od I RP liczniejszą armię o ok. 15 tysięcy.

O mocarstwowości II Rzeczypospolitej lepiej już nie mówmy. Wiadomo jak z tym było.

Tak więc, o ile I Rzeczpospolitą można jeszcze rozgrzeszyć za wymyślenie sobie dość osobliwej nazwy swojego państwa, a II Rzeczpospolitą za nadmierne przywiązanie do tradycji, to pod koniec 1989 r., po doświadczeniach z RP/PRL, też w końcu „Rzeczpospolitymi”, choć nie „numerowanymi”, trzymanie się „rzeczpospolitowej” nazwy państwa należało poddać co najmniej

powszechnej debacie. Nie dlatego, że nad Państwem Polskim o nazwie „Rzeczpospolita” ciąży jakieś dziejowe fatum, ale że w dzisiejszych warunkach jest ona *pustosłowiem* bez praktycznego znaczenia.

Niestety, tak nie stało się. A szkoda. Polska bowiem, pojmowana jako Państwo i Naród, jak to trafnie określili czterej nasi historycy, Henryk Samsonowicz, Janusz Tazbir, Tadeusz Łepkowski i Tomasz Nałęcz, tytułując swoje dzieło zbiorowe z 1992 r. „POLSKA: Losy Państwa i Narodu”, jest *najstuszniejszą* nazwą dla jej Państwa i Narodu! Żadne „wzbogacanie” tej nazwy różnymi wspomagającymi określeniami *nie jest* do niczego potrzebne!

Niechże Polska będzie *wreszcie tylko* Polską!

Dlatego pomysł, żeby III Rzeczpospolitą zamienić teraz na IV Rzeczpospolitą – jest *bezsensownym* pomysłem! Także i dlatego, że tak naprawdę, to RP z lat 1944-1952 powinna być III RP, a PRL z lat 1952-1989 być IV RP. Obecna zaś III RP, zrodzona faktycznie przez PRL, powinna być V RP, a proponowana tu i ówdzie III RP powinna być VI RP!

Ba, słychać już przecież głosy, że III RP skończyła swój żywot jeszcze w 1993 r., kiedy to władzę zdobyli postkomuniści, a Aleksander Kwaśniewski został w 1995 r. prezydentem, to wtedy nastał „Olkizm”!

W takim przypadku, „Olkizm” jest IV RP, a uwzględniając RP/PRL, proponowane nowe wydanie RP powinno nosić nazwę VII RP!

I kto wie czy na tym koniec?

Historycy mogą przecież dopatrzeć się jeszcze jakichś „numerów” RP, zwłaszcza w okresie RP/PRL. Czymś innym była bowiem RP z lat 1944-1947, a jeszcze czymś innym z lat 1949-1952. Podobnie było z PRL. Była bowiem „PRL 1952-1956”, potem „popaździernikowa” PRL z lat od końca 1956 r. do końca 1970 r., a wreszcie „dwie gierkowskie PRL” („Gierka nr 1” i „Gierka nr 2”), PRL „lata 80” i do „stanu wojennego”, a wreszcie „dwie PRL” z czasów władzy Jaruzelskiego, z lat 1982-1985 i z lat 1986-1989, kiedy to ZSRR zaczął stopniowo, pod szyldem „pierestrojki”, przechodzić do likwidacji „wspólnoty socjalistycznej”, od PRL zaczynając, a na sobie samym kończąc.

Zresztą, nie tylko RP/PRL i III RP możnaby wzbogacić „numerami”, ale także II RP, po maju 1926 r., nie mówiąc już o I RP,

która kolejnych „numerów” mogłaby mieć więcej niż jeden, ale dajmy już temu spokój.

Przyjęcie przez Państwo Polskie nazwy „Polska” ma jeszcze i tą dodatnią stronę, że oprócz położenia kresu praktyce „numerowania” jego okresowych odmian, skończyłyby się też *niedobry* zwyczaj przywiązywania nadmiernej wagi do „magii cyfr”.

Nie w „numerach” kolejnych wydań RP leży bowiem problem, ale w *prawdziwości* Państwa Polskiego!

Trzeba bowiem przypomnieć, że obok „rzeczpospolitowych” jego wydań w okresie porozbiorowym, do odzyskania niepodległości w listopadzie 1918 r., różnych *quasi*-Państw Polskich i ich namiastek było sporo.

Do nich należało stworzone przez Napoleona i formalnie istniejące w latach 1807-1815 (faktycznie w latach 1807-1813) Księstwo Warszawskie, z nadaną przez niego konstytucją, ale którego głową był król saski, a nie Polak. Kolejnym było stworzone w 1815 r. przez cara Aleksandra I i z konstytucją nadaną przez niego, Królestwo Polskie, Kongresowe, z carem jako jego kólem. Straciło ono, co prawda, swoją autonomię po upadku Powstania Listopadowego, ale jego szczątki przetrwały do 1915 r.

Były jeszcze wymuszone przez Rosję (na Wiedeńskim Kongresie) na Austrii i Prusach *quasi*-państwka polskie w postaci Krakowskiej Rzeczypospolitej, właściwie Wolnego Miasta Krakowa, dokąd nie została ona zlikwidowana po wybuchu Rewolucji Krakowskiej w 1846 r., jak też Wielkie Księstwo Poznańskie, większe od krakowskiego i mimo prób zaborcy jego likwidacji, w jakimś stopniu przetrwało do końca I wojny światowej.

Nie można też nie wspomnieć o „Regencyjnym Państwie *Polskim*”, stworzonym we wrześniu 1917 r. w b. „kongresówce” przez Niemców i Austriaków, które odegrało pozytywną rolę (choć ciągle niedocenianą) w odzyskaniu przez Polskę niepodległości w listopadzie 1918 r.

Nie zaliczając jednakże tych tworców do miana Państwa Polskiego, trzeba jednak pamiętać o ich istnieniu i o wpływie, jakie wywierały one na egzystencję i świadomość narodową Polaków.

Wszystkie jednak tamte doświadczenia nie odcisnęły się tak głęboko na ich psychice i świadomości jak ponad 45-letni żywot RP/PRL.

Rozdział II

RP/PRL: Stalin „ustroił” – Gorbaczow „ugrobił”

Istniejące w latach 1944-1989 Państwo Polskie, okresowo zwące się RP i PRL, czeka jeszcze na werdykt historyków. Czterej wspomnieni już autorzy dzieła „POLSKA – Losy Państwa i Narodu”, nie wyszli bowiem poza 1939 r. Inni zaś historycy jeszcze takiego werdyktu nie wydali, albo co najwyżej poczynili tylko pierwsze kroki w tym kierunku.

Stąd też ocena RP/PRL podejmowana przez nie historyków, zwłaszcza ludzi pokroju autora, który w latach 1945-1981 był w niej działaczem partyjnym i państwowym, a po zaprotestowaniu przeciwko „stanowi wojennemu” doczekał się zaocznego wyroku śmierci, utraty obywatelstwa polskiego (nadal nie przywróconego) oraz praw majątkowych i honorowych – jest szczególnie trudna.

Państwo Polskie RP/PRL – fakt nie bez znaczenia – istniało ponad dwukrotnie dłużej od II RP i trzykrotnie dłużej od obecnej III RP.

Czy wobec tego RP/PRL była *autentycznym* Państwem Polskim?

I tak i nie. Jak to bowiem ujmuje Nowa Encyklopedia Powszechna PWN, w tomie 5 z 1996 r., a więc wydana w III RP, „*Państwo polskie, suwerenne w rozumieniu prawa międzynarodowego, było pozbawione niezawisłości*”. Encyklopedia podaje następnie, że na jego terenie stacjonowało początkowo ok. 0,5 mln wojsk radzieckich, dodając do tego również inne fakty, potwierdzające *brak niezawisłości* RP/PRL.

Jest to *niezaprzeczalną* prawdą! Tak istotnie było do końca

istnienia RP/PRL i autor może sam to potwierdzić choćby tylko na podstawie własnych doświadczeń.

Ale także prawdą jest, że Polacy w swojej większości uważają, że najlepszym ich powojennym przywódcą był Edward Gierek, czyli jeden z przywódców PRL, a *nie* Lecha Wałęsa, prezydent III RP. Z różnych też innych badań opinii publicznej wynika, że PRL nie tylko jest naogół *dobrze* wspomiana, ale wręcz otaczana narastającą nostalgią.

Nie oceniając na ile nostalgiczny stosunek do RP/PRL jest uzasadniony, sprawą najważniejszą jest *w jaki* sposób doszło do jej narodzin, a następnie zgonu.

Truizmem jest twierdzenie, że RP/PRL stworzył Stalin. Jakaś rolę mogli w tym stworzeniu odegrać też polscy komuniści oraz inni lewicowi i radykalni działacze, ale *decydujący* głos miał tutaj Stalin. Jego 13-milionowa, uzbrojona po zęby i zahartowana w bojach Armia Czerwona, z oddziałami NKWD/NKGB podążającymi za nią, sunęła na zachód w kierunku Niemiec, aby tam pozostać na dziesiątki lat jako okupant ich części, nazwanej później NRD. Musiała więc przetoczyć się przez Polskę. Chciały tego nawet USA i Anglia, informując Polaków w grudniu 1943 r., że zostali *przesunięci* do „strefy operacyjnej” Armii Czerwonej.

Jak powinni byli zareagować na taką wieść?

Dziś już wiadomo, że takie „przesunięcie” dawało Polakom do wyboru trzy alternatywy:

- zaprzestać walki z Niemcami, ale nie iść z nimi na żaden antyradziecki sojusz;
- oddać się pod rozkazy Stalina;
- kontynuować nadal walkę z Niemcami, ale wkraczające do Polski wojska radzieckie traktować jako sojusznika, a *nie* gospodarza terenu.

Pierwsza alternatywa, w sytuacji rwania się Polaków do walki z Niemcami, była *niemożliwa* do wprowadzenia w życie. Komunistyczna partyzantka, AL, od czerwca 1944 r. obficie zaopatrywana z powietrza w broń radziecką, mogła wtedy przygarnąć takich Polaków.

Druga alternatywa *nie wchodziła* w grę. ZSRR z emigracyjnym rządem polskim w Londynie zerwał stosunki dyplomatyczne 25 kwietnia 1943 r. (na tle sprawy katyńskiej) i ani myślał je wzna-

wiać. Równocześnie nie uznawał AK w okupowanym przez Niemców kraju.

Pozostała więc trzecia alternatywa, której skutki są aż nadto znane. Ale czy nie można było coś wskórać u USA i Anglii, sojuszników Polski, żeby ZSRR *przyjaźniej* nastawić do tej alternatywy? Wiadomo, niestety, że ani one nie chciały o tym słyszeć, ani też Polacy nie o wszystkim wiedzieli jak postępowali ich zachodni sojusznicy.

USA i Anglia, dla zarządzania zdobywanymi ziemiami, które były pod okupacją państw Osi, stworzyły instytucję AMGOT, w przekładzie polskim „Sojuszniczy Zarząd Wojskowy dla Okupowanych Terytoriów”. Nie „wyzwalanych”, tylko „okupowanych”! Mając jednak w Europie Zachodniej sojuszników, nie musiały tych ziem okupować, tylko wyzwalać, ale gdyby było inaczej, to okupacja ich była wtedy pewna.

Z ZSRR jednakże, kiedy Armia Czerwona zaczęła wkraczać na polskie terytorium, sprawy wyglądały *diametralnie* odmiennie. Polacy *sami* zaczęli się wyzwalać, bez wiedzy i zgody Stalina, a to było dla niego *niemożliwe* do tolerowania.

Niestety, USA z Anglią *rozumiały* postępowanie Stalina. Na jego obszarze operacyjnym powinny obowiązywać jego prawa i porządki. A że Polakom prawdy na ten temat nie mówiły, to już co innego.

Efekt tego był zaś taki, że Polacy, choć nie wszyscy i nie zaraz, nie mieli innego wyjścia niż *poddać się* woli Stalina. Byli oczywiście i tacy, którzy o tym marzyli.

Ale byli i tacy, którzy wierzyli, że „czas zrobi swoje”. A tymczasem należało *pogodzić się* z tzw. nową rzeczywistością i próbować czynić ją możliwie znośną

Jak do tej „nowej rzeczywistości” doszło i czym ona była – wiadomo.

Nie wiadomo tylko *co* sam Stalin o niej myślał. A z pewnością myślał, gdyż w przeciwnym przypadku nie doszłoby do paktu Ribbentrop-Mołotow, „noża w plecy”, masowych mordów i zsyłek Polaków w głąb ZSRR, często równających się ich śmierci. Stalin więc, na początku II wojny światowej zawzięcie *niszczył* Państwo Polskie i Naród Polski.

Z drugiej strony, w Moskwie ukazały się w ostatnich latach różne rewelacje, z których wynika, że Stalin nie tylko mówił o

zbliżającej się wojnie radziecko-niemieckiej (co jest prawdą), ale także przewidywał rychłe uderzenie na Niemcy, w którym brałaby też udział „wyzwoleńcza armia polska”.

O organizowaniu przez ZSRR „polskiej armii” na początku wojny do dziś nic nie wiadomo, ani tym bardziej *co* konkretnie miałyby ona wyzwalać? Ziemie polskie spod niemieckiej okupacji, które *zaraz* stałyby się republiką radziecką czy też może miałyby powstać jakaś odmiana późniejszej RP/PRL?

Zresztą, jeśli Stalin zamierzał wtedy stworzyć „wyzwoleńczą armię polską”, to dlaczego w tym czasie kazał rozstrzeliwać polskich oficerów w Katyniu i innych miejscach, a żołnierzy kazał głodzić i mrozić w łągach?

Jakkolwiek nie było, faktem jest, że gdy doszło do wojny z Niemcami, to Stalin raptem przypomniał sobie o „sprawie polskiej”, zabierając się do niej z właściwą mu bezwzględnością i skrupulatnością. Jego działania wyglądały na oddolną jakby inicjatywę polskich komunistów i ich sojuszników, a stwarzane przez niego fakty długo uchodziły uwagi londyńskich władz emigracyjnych i ich angielsko-amerykańskich sojuszników. Ledwie tylko odrzucił Wehrmacht spod Moskwy i wbrew temu co tuż przedtem mówił gen. Władysławowi Sikorskiemu, premierowi rządu emigracyjnego, od końca lipca 1941 r. jego sojusznikowi w walce z Niemcami, w grudniu tegoż roku Stalin rozkazał zrzucić na spadochronach w Generalnej Guberni dwie „grupy inicjatywne”, które w styczniu stworzyły załączek przyszłej RP/PRL, Polską Partię Robotniczą, a później jej odnogę – Krajową Radę Narodową. Na wszelki wypadek rozkazał jeszcze utworzenie w ZSRR Związku Patriotów Polskich, Centralnego Biura Komunistów Polskich w ZSRR, a wreszcie 15-osobowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, od powstania którego 20 lipca 1944 r. zaczęło się istnienie RP/PRL. Akurat właśnie wtedy Armia Czerwona przekroczyła Bug i podążała w kierunku Wisły, a u jej boku walczyło „odrodzone” 100-tysięczne Wojsko Polskie, wkrótce już *czterokrotnie* liczniejsze.

Mając w ręku takie atuty, Stalin mógł dowolnie realizować swoje plany w „sprawie polskiej” i nie ma co już przypominać jak konkretnie to czynił, gdyż są to znane fakty.

Czy Polacy, a tacy byli coraz liczniejsi, powinni mu w tym pomagać?

Patrząc na sytuację sprzed sześćdziesięciu lat i mając o niej już szerszą wiedzę niż wtedy była ona dostępna – odpowiedź *musi* być twierdząca.

Chodzi konkretnie o *granice* wyłaniającej się Polski z II wojny światowej. Wschodnia, jak to z grubsza było już w okresie wrzesień 1939–czerwiec 1941, znów wracała na swoje miejsce, na co PKWN wyrażał oczywiście zgodę, a ci Polacy, którzy byli innego zdania *nie mogli* liczyć na wsparcie ze strony USA i Anglii. W ten sposób nieco ponad połowa przedwojennego terytorium Polski odchodziła od niej i chyba już bezpowrotnie. Powstał więc problem terytorialnej *rekompensaty* kosztem Niemiec. Niby USA i Anglia zgadzały się z tym na teherańskim szczycie Wielkiej Trójki w końcu 1943 r., ale już na kolejnym szczycie w Jałcie w lutym 1945 r. już *nie śpieszyły się* z tą rekompensatą. Stalin, któremu wtedy Polacy byli akurat potrzebni w jego grze z USA i Anglią, wykorzystał ich wahania i 1 marca 1945 r. wydzielił ze swojej przyszłej strefy okupacyjnej w Niemczech ziemie, które przekazał pod „polską administrację wojskową”, co trwa do dnia dzisiejszego. Rodząca się RP/PRL sięgnęła w wyniku tego od Bugu do Odry i Nysy Łużyckiej, zdobywając przy tym szeroki dostęp do Bałtyku, a nie powróciła do granicy polsko-niemieckiej z 1939 r., co było całkiem możliwe. Tym samym powojenne Państwo Polskie stało się o 1/3 terytorialnie większe, niż mogło nim być, nie mówiąc już o tym, że jego potencjał gospodarczy był teraz o połowę większy od tego w II RP.

Pchnięcie Polski przez Stalina na zachód stało się więc *decydujące* dla jej przeszłości. A że zapłaciła za to brakiem rządów demokratycznych, było sprawą wobec tego wydarzenia drugorzędną. Jeśli nawet takie powstałyby w wyniku uchwał jałtańskich, to bez poparcia Stalina *nigdy* nie zyskałyby Ziem Odzyskanych. Wtedy bowiem zaczynała się już rywalizacja w łonie Wielkiej Trójki o względy powojennych Niemiec i dlatego Polska mogła pozostać *bez* tych ziem, stając się państwem karłowatym. Stalin był jednakże innego zdania. Miał w tym swój interes oczywiście, ale tym razem *zbiegł się* on z interesami Państwa i Narodu Polskiego.

I tylko ten sam fakt *wart* był ceny, jaką przyszło Polakom zapłacić za *satelicki* charakter RP/PRL i inne jej „*błędy i wypaczenia*”, które wielu z nich kosztowały życie i więzienie.

Za darmo *niczego* nie ma.

Czy jednakże Polacy z tego powodu powinni byli poddać się Stalinowi, a nawet aktywnie wcielać w życie jego wolę? Czy może w sposób czynny i bierny stawiać mu opór, albo udawać pogodzenie się z losem i cierpliwie czekać na „lepsze czasy”?

Polacy próbowali wszystkiego po trochu. W międzyczasie jednak przyszło im żyć w kraju takim, jaki zgotował im los. A że RP/PRL mogła w 45-leciu więcej zdziałać niż zdziałała i że mogła być lepszą niż była – to wszystko prawda. Podobnie jak prawdą jest, co dopiero dziś wielu Polaków dostrzega, że RP/PRL była na miarę swoich możliwości państwem opiekuńczym i gorzej lub lepiej zabezpieczała ludziom niezbędne minimum egzystencji. Za pracę nie płaciła dużo, ale pracy nie brakowało.

Co najważniejsze, zdziesiątkowany wojną Naród Polski wszedł na ścieżkę *burzliwej* ekspansji demograficznej. Paradoksalnie, urodzin było *najwięcej* w „okresie stalinowskim”!

Prawda, Polacy okresowo zrywali się do masowego protestu, czasem krwawego, chociaż było już jasne, że *nic* tym nie dziaają, będąc w uścisku ZSRR.

Zrywy te zresztą nie były aż tak dla niego groźne (jeśli nawet nie on je inspirował). Po tym bowiem jak powojenne podziemie zbrojne przestało istnieć, a zmiana czegokolwiek kartką wyborczą, jak to próbował czynić Stanisław Mikołajczyk ze swoim PSL, okazała się niemożliwa, masowe protesty *nie miały* przecież „antysocjalistycznego” charakteru. „Socjalizm tak – wypaczenia nie!”, nie miały przecież antyradzieckiego ostrza.

RP/PRL wydawała się być zatem *trwałym* Państwem Polskim, a przynajmniej tak długo, jak długo istniał ZSRR.

Tym niemniej, masowe protesty okresowo wybuchały i większość Polaków nawet wierzy, że doprowadziły one do zmiany systemu w Polsce, a przy tej okazji do jej samowyzwolenia się z radzieckiego uścisku, co z kolei spowodowało zniknięcie samego ZSRR.

Tymczasem prawda była *diametralnie* inna.

Nie Polacy przyczynili się do zniknięcia ZSRR, ale to *on* spowodował zniknięcie stworzonego przez siebie Państwa Polskiego, podobnie jak pozostałych krajów „wspólnoty socjalistycznej”, a na koniec sam się rozwiązał.

Dlaczego tak postąpił?

ZSRR, pod koniec II wojny światowej i w pierwszych latach po

jej zakończeniu – potrzebował Polski i stworzył ją taką, jaką chciał, z grubsza pozostawiając ją w zamierzonym kształcie do końca 1989 r. Ale w pewnym momencie zarówno ona, jak i pozostałe kraje „wspólnoty socjalistycznej”, zaczęły mu ciążyć. Z wojskowego punktu widzenia bowiem, konwencjonalna siła ognia nieradzieckich armii w Układzie Warszawskim stanowiła tylko niecałe *5 procent* siły ognia radzieckich sił zbrojnych. A ponieważ rozporządzały one bronią nuklearną, więc faktyczna rozpiętość w sile ognia szła w *miliony* razy.

Co więcej, już od początku lat 1960., o czym Polacy nie wiedzieli, ZSRR za potencjalnego przeciwnika uważał USA, a *nie* pozostałe kraje NATO. W efekcie tego, wykluczało to jego atak na Europę Zachodnią, w którym mogłoby uczestniczyć także „ludowe” Wojsko Polskie. Przewidując natomiast uderzenie bronią strategiczną *wprost* na USA (potwierdzały to gigantyczne manewry radzieckie z czerwca 1982 r., pozorujące „7-godzinną wojnę nuklearną z USA”), główny nacisk ZSRR kładł na rozwój tej broni i w latach 1970. nie tylko pod tym względem zrównał się z USA, ale zaczął je wyprzedzać.

W tej sytuacji nieradzieckie armie Układu Warszawskiego stały mu się do *niczego* niepotrzebne. Niepotrzebne stały mu się także potencjały gospodarcze „bratnich krajów”, z których korzyści miał niewielkie, ale za to musiał je podtrzymywać paliwami i surowcami, otrzymując w zamian jakościowo nie najlepsze i nie najtańsze wyroby przemysłowe.

Wreszcie, ZSRR, po tym jak zarzucił u siebie „budowę komunizmu”, był coraz mniej zainteresowany „budową socjalizmu” gdzie indziej.

Nie te względy jednak były decydujące w demontażu „wspólnoty socjalistycznej”, w tym RP/PRL, jak też samego ZSRR. Licząc się z wojną nuklearną z USA, zwłaszcza od „kubańskiego kryzysu” jesienią 1962 r., choć Waszyngton cofnął się przed nią w ostatniej chwili, ZSRR nie tylko wzmógł przygotowania do niej, ale także zaczął *przemysłiwac jak najlepiej* ją ewentualnie rozegrać, żeby uniknąć czołowego zderzenia z USA, z którego żadna ze stron nie mogłaby wyjść zwycięsko.

Jednym z rozwiązań tego dylematu było skorzystanie z rad Sun Tzu, chińskiego stratega sprzed 2,5 tys. lat, z których główną było *uśpienie* czujności potencjalnego przeciwnika. Z wroga należało

stać się jego przyjacielem i udawać słabeusza niezdolnego do wojny.

I wiele wskazuje na to, że idąc za tą radą strategów radzieckich zabrali się do „sprzątnięcia” ZSRR, groźnego dla USA przeciwnika. Odpowiedni plan „działania operacyjnego” przygotowali przedstawiciele rządzącego w ZSRR od śmierci Stalina „kompleksu wojskowo-policyjnego”, z ramienia GRU, wywiadu wojskowego, płk Witalij Szłykow (dziś generał) i płk Władimir Rubanow z wywiadu KGB.

Nie wchodząc w liczne i wysoce złożone szczegóły operacji „strategiczkawo obmana”, ZSRR podjął w wyniku tego serię akcji, które stopniowo zaczęły nim „chwiać”, podobnie jak niektórymi krajami „wspólnoty socjalistycznej”, głównie RP/PRL.

Co się tyczy RP/PRL, to najprawdopodobniej jeszcze przed wspomnianą operacją „kompleksu”, rozpoczął on jej destabilizację, przy rozgrywaniu „karty niemieckiej”, której pomyślny przebieg mógł być *decydujący* dla powodzenia podejmowanej operacji.

„Kompleks”, zanim upozorował „sprzątnięcie” ZSRR sprzed nosa USA, podjął próby *osłabienia* ich dominacji w świecie, głównie w Europie. Zadanie miał ułatwione, gdyż ciągle nierozwiązany „problem niemiecki” mógł stać się w tych próbach przydatny. Tym bardziej, że w rękę miał takie atuty jak *zjednoczenie* Niemiec, którego nikt inny już nie chciał, jak też ewentualne *odstąpienie* od gwarantowania ostatecznego charakteru polsko-niemieckiej granicy (stało się to oczywiście w czasie podpisywania sierpniowego traktatu ZSRR-RFN w 1970 r.). „Wyjęcie” zjednoczonych i ewentualnie powiększonych Niemiec ze struktur zachodnich, mogło *zmienić* układ sił w świecie. Żeby jednak grę lepiej poprowadzić, trzeba było *zachwiać* Polską. No i pomogło temu „Lato 80” i „stan wojenny”.

Dalszy ciąg gry, ciągle pod czujnym okiem „kompleksu”, od marca 1985 r., poprowadził już Michaił Gorbaczow swoją „piestrojką”, „głasnością”, „nowym myśleniem” i „demokratyzacją”. Uczynił to tak świetnie, że Zachód, USA głównie, nie tylko w niczym nie połapały się, ale jeszcze wpadły w zachwyt nad „Gorbym”.

A Gorbaczow, co uszło uwadze także Polaków (poza nielicznymi wyjątkami), zabrał się tymczasem do *demontażu* „polskiego

działa Stalina”. Wstrząsnęły nim raptem dziwne strajki, zaczęła pojawiać się wskrzeszana „Solidarność”, tak jak Wałęsa, a „policjant nr 1”, gen. Kiszczak, przy wsparciu Kościoła, zabrał się za „Okragły stół”, z wiadomymi już skutkami.

I tak, przy poklasku Gorbaczowa, jak też Zachodu, który *nic* z tego wszystkiego nie rozumiał, ale za to zachwycił się raptem Jaruzelskim, RP/PRL zniknęła.

Ale czy aby naprawdę?

Rozdział III

Dziwne narodziny III RP

Gorbaczowowska „pierestrojka”, w rzeczywistości Operacja „Strategiczeskij Obman”, przeprowadzona przez radziecki „kompleks wojskowo-policyjny”, swój punkt kulminacyjny osiągnęła w latach 1989-1991, kiedy to rozpadła się „wspólnota socjalistyczna” z samym ZSRR włącznie. Bardziej właściwym określeniem dla tego okresu Operacji powinna być „postrojka”, jako że wtedy nie tylko burzono porządki ustanowione jeszcze przez Lenina i Stalina, jak i ich następców, ale *równocześnie* tworzono nowe, dotąd przez nikogo niewyobrażalne fakty dokonane, które dotąd nie doczekały się pogłębionej analizy.

Polacy w swojej masie, nie wiedząc nic o „postrojce”, jak też wierząc, że to oni jedynie zmieniali oblicze świata, na inne wydarzenie, które *natychmiast* wybiło się na czoło wszystkich pozostałych, prawie nie zwrócili uwagi.

Wydarzeniem tym był upadek „muru berlińskiego” 9 listopada 1989 r., zaaranżowany przez radzieckie i ernerdowskie służby specjalnie, a *nie* jakiś spontaniczny akt. „Mur” nie tylko przyćmił „polskie wydarzenia”, ale też miał na nie i inne wypadki *decydujący* wpływ. Dziś przecież już mało kto pamięta, że formalne narodziny III RP nastąpiły dopiero w siedem tygodni *po* upadku „muru berlińskiego”!

Przypadek? Skądże! Polacy byli wtedy tak zajęci sami sobą, a świat przypatrywał im się z ciekawością, że o Niemcach zapomniano. A Gorbaczow, wizytując RFN w czerwcu 1989 r., coś jakby wspominał o nadchodzącym zjednoczeniu Niemiec (będąc wtedy w RFN sam to słyszałem), ale jego słowa puszczono mimo uszu, albo Bonn tak tylko udawało. Ale cóżby za cel w tym miało? Ano,

od nastania w b. RFN pod koniec lat 1960-eh koalicyjnych rządów socjaldemokratyczno-liberalnych, doszło do sformułowania „Polityki Wschodniej”, *Ostpolitik*, stawiającą niedwuznacznie na *zbliżenie* z ZSRR, który natychmiast ten „namiok poniał”. Między więc Moskwą a Bonn rozpoczął się wysoce *utajniony* dialog, który najprawdopodobniej dotyczył nie tylko zjednoczenia Niemiec, ale także wspomnianej już w innym miejscu trwałości obecnej granicy polsko niemieckiej. A ponieważ w pewnym momencie – jak to już było wspomniane w poprzednim rozdziale – Polską należało w tym celu „zamieszać”, więc „zamieszano”! „Mieszanie” zresztą, zaczęło się *zanim* doszło do „Okrągłego stołu” i jego skutków. ZSRR spowodował bowiem, że raptem doszło do napięcia pomiędzy PRL a NRD na tle wód terytorialnych, co było *niewątpliwie* sygnałem dla Bonn, że „coś” nowego zaczyna się tutaj dziać. A kropkę nad „i” postawił już Gorbaczow w czasie swojej polskiej wizyty w lipcu 1988 r. Była to *pierwsza* tego rodzaju wizyta w historii stosunków radziecko-peerelewskich, żeby przywódca ZSRR udawał się na Ziemię Odzyskane. I Polacy od niej oczekiwali, że Gorbaczow potwierdzi przy tej okazji *trwałość* ich granicy z Niemcami. Ależ gdzież tam, słowem *nie zająknął* się na ten temat! A ponieważ Polacy już od następnego miesiąca zaczęli żyć „okrągłostołową ideą”, zaprezentowaną przez Kiszczaka i podchwyconą przez Wałęsę, przy przytaknięciu jej przez Kościół, więc kto miałby tam czas za rozglądanie się za czymś, co się wokół niego działo?

Dominowały wtedy przecież sprawy „własnego podwórka”. Wybory w czerwcu 1989 r. władza przecież przegrała, a w sierpniu Tadeusz Mazowiecki z „Solidarności” otrzymał misję sformowania „koalicyjnego rządu”! W euforii nie bardzo też zauważono, że już w dwa dni po tym wydarzeniu, Mazowieckiemu złożył wizytę Władimir Kriuczkow, szef KGB, jako *pierwszy* z jego zagranicznych gości! Ba, na dodatek (nie jest jasne kiedy) wizytę złożył także gen. Leonid Szebarszyn, szef wywiadu KGB!

Tym niemniej, III RP *nie narodziła się* przy pierwszej nadarżającej się okazji, jaką było przyjęcie 12 września 1989 r. przez „kontraktowy” Sejm składu koalicyjnego rządu Mazowieckiego, gdyż widocznie według moskiewskiego kalendarza czas na to jeszcze nie nadszedł. Przedtem musiał upaść jeszcze „mur berliński”, a zaaranżowana przez KGB i StB „aksamitna rewolucja”

zwyciężyć w Czechosłowacji. W Bułgarii i na Węgrzech też musiało się zmienić i poszło z tym gładko, ale w Rumunii, gdzie Ceausescu „stawał się” od lat, trzeba było go ukarać i wraz z żoną postawić pod ścianę.

Dopiero po tych wydarzeniach III RP *mogła* wreszcie narodzić się, aczkolwiek też nie tak zaraz. Rozpoczęte 29 grudnia 1989 r. jej narodziny odbywały się przecież na raty. Godła Państwowemu, Orłowi Białemu, koronę przywrócono dopiero 9 lutego 1990 r., a Służbę Bezpieczeństwa, jeden z głównych filarów władzy w PRL, zastąpiono Urzędem Ochrony Państwa, utkanym jej „zweryfikowanymi” oficerami, aż w kwietniu 1990 r. Wojsko zaś pozostało długo takim, jakim było, a jego służby specjalne, wywiad i kontrwywiad, nie zostały *nigdy* rozwiązane, a jedynie z czasem zmieniono tylko ich nazwy. PZPR, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, „przewodnia siła polityczna społeczeństwa”, jak ją nazywano już oficjalnie w peerelowskiej Konstytucji po jej nowelizacji z 10 lutego 1976 r., istniała jeszcze przez prawie miesiąc, samorozwiązując się 27 stycznia 1990 r. Natychmiast jednak powołała do życia swoją następczynię, SdRP, Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej.

Co więc faktycznie, bo nie formalnie, przestało istnieć w końcu grudnia 1989 r.?

Na pytanie to do dziś *nie ma* jasnej odpowiedzi. Gen. Wojciech Jaruzelski pełnił nadal funkcję prezydenta, aż do 22 grudnia 1990 r., kiedy to objął ją Lech Wałęsa, a generałowie Czesław Kiszczak i Florian Siwicki, szefowie resortów spraw wewnętrznych i obrony narodowej, którzy w koalicyjnym rządzie Mazowieckiego byli „z klucza PZPR”, byli w nim nadal do początków lipca 1990 r., mimo że partii tej nie było już od pół roku!

Co więcej, III RP ciągle jeszcze była „wiernym członkiem” Układu Warszawskiego i aktywnym w RWPG, dokąd same nie rozwiązały się w połowie 1991 r. (a ściślej rozwiązały je ZSRR).

Do końca grudnia 1991 r., co najważniejsze, istniał też ZSRR, którego wojska, potem przemianowane na rosyjskie, stacjonowały w III RP aż do września 1993 r., co oznaczało, że miała siedzieć cicho!

III RP mogła za to „szumieć” ile chciała na odcinku „reformy systemowej”, w gospodarce zwłaszcza, gdyż mogła tutaj być *cennym* poletkiem doświadczalnym dla ZSRR, a potem Rosji.

No i III RP „zaszumią!”! „Zaszumią” już zresztą PRL w końcu 1988 r., kiedy to Nomenklatura zaczęła „uwłaszczać się”, a 1 sierpnia 1989 r. kończący swój żywot rząd Rakowskiego „wyzwolił” jeszcze ceny żywności, co inflację zamieniło już w hiperinflację. W sytuacji załamywania się obrotów z krajami RWPG, zwłaszcza z ZSRR, olbrzymiego zadłużenia wolnodelowizowego, którego spłaty wisiły nad rodzącą się III RP jak przysłowiowy miecz Damoklesa, zreformowanie gospodarki było istotnie *niezwykle* trudne, ale odważnie „skoczyła w rynek”, a co z tego wyszło – nie trzeba przypominać. Niby potem sprawy wyszły „na prostą”, ale dziś już wiadomo, że tak z tym *nie jest* i długo nie będzie.

Wszystko to jednak nie było najważniejszą sprawą w nowonarodzonej III RP, ale na ten temat długo nie mówiono. A chodziło o rzecz zasadniczą – o jej *pełną* suwerenność.

„Bomba” w tej sprawie wybuchła, choć wybuchu w kraju i ośrodkach polonijnych nie usłyszano, dopiero przy okazji przyjęcia przez III RP już jej własnej, od „A” do „Z” napisanej Konstytucji, która do tego czasu była rozproszona w co najmniej dwóch tekstach.

I oto, w Preambule Konstytucji RP (czytaj III RP) z 2 kwietnia 1997 r., już w jej pierwszych słowach, stwierdza się co następuje:

„*W trosce o byt i przyszłość naszej Ojczyzny, odzyskawszy w 1989 r. **możliwość** suwerennego i demokratycznego stanowienia o Jej losie, my, Naród Polski...*” (podkreślenie autora).

A więc *co* tak naprawdę III RP odzyskała w 1989 r.? Suwerenność (Preambuła nie wspomina, czy była ona w PRL w ogóle, lub choćby tylko w niepełnym stopniu), czy *jedynie* „**możliwość**” jej odzyskania?

A różnica pomiędzy jednym i drugim pojęciem jest przecież o *zasadniczym* znaczeniu! Jeśli bowiem w 1989 r. III RP odzyskała jedynie „możliwość” odzyskania suwerenności, a *nie* suwerenność, to skąd pewność, że taką możliwość w pełni wykorzystała? Zwłaszcza, że znikąd nie można dowiedzieć się *na czym* konkretnie taka „możliwość” polegała.

Pytanie tego rodzaju jest o tyle zasadne, że w Małej Konstytucji RP z 17 października 1992 r., pomimo że nie ma w niej Preambuły, nie mówi się właściwie *nic* o suwerenności III RP. Jedynie w towarzyszących jej „Przepisach Konstytucyjnych”, również z 17

października 1992 r., w Art. 8 mówi się, że: „*Siły zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej stoją na straży suwerenności i niepodległości Narodu Polskiego...* (podkreślenie autora).

Ponieważ w „Przepisach” wspomniano o „suwerenności” i „niepodległości” Narodu Polskiego, to należy zaznaczyć, że suwerenność i niepodległość są *wymiennymi* pojęciami, aczkolwiek suwerenność jest szerszym pojęciem, pod którym rozumie się m. in. niepodległość.

Wynikałoby więc stąd, że III RP już *przed* 1992 r. skorzystała ze stworzonej w 1989 r. „możliwości” odzyskania suwerenności i siły zbrojne stały teraz na jej straży.

Albo, co *nie jest* wykluczone, że cytowane sformułowanie było pustosłowiem, tak samo jak to było z suwerennością PRL. Formalnie była ona przecież suwerenna jakoby już *od powstania* PKWN, co uparcie powtarzano i pisano gdzie się tylko dało.

A jak było naprawdę?

Historycy nie dali jeszcze pełnej odpowiedzi na to pytanie, gdyż albo nie dotarli dotąd do źródłowych dokumentów na ten temat, szczególnie w Moskwie, a ponadto *nie* wszystko zapewne jest w tych dokumentach musi być zapisane. Luki w tej wiedzy mogłyby w znacznym stopniu wypełnić wspomnienia przywódców i innych czołowych osobistości RP/PRL, ale takich właściwie nie ma, albo są dalekie od prawdy.

Tymczasem zaś wiedza taka była *niezbędna* dla normalnego funkcjonowania III RP.

W rezultacie tego, nowopowstała III RP rozpoczęła swój żywot *bez* pełnej wiedzy o realiach RP/PRL, a tym samym o *samej* sobie. Narodziła się bowiem tak dziwnie, że należałoby raczej mówić nie o jej narodzinach, ale o *przebraniu się* RP/PRL w III RP!

W RP/PRL bowiem, istnienie radzieckiej „tajnej pajęczyny”, zarówno przeplecionej z jej peerelowskim odpowiednikiem (dawniej często kierowanym przez radzieckich oficerów i „doradców”) czy też od niej formalnie niezależnej, było o *decydującym* znaczeniu dla jej funkcjonowania jako Państwa Polskiego. Jeśli takie funkcjonowanie było uzależnione od obcej sieci wywiadowczo-kontrywywiadowczej, której działalność takiemu państwu nie podlegała, a najczęściej była mu także nieznana, to *co* to było za państwo?

Co gorsza, działalność tej sieci (często wspieranej rodzimą),

była niejednokrotnie wymierzona *przeciwko* jego kierownictwu, albo poszczególnym jego członkom!

O tego rodzaju działalności radzieckiej „tajnej pajęczyny” w RP/PRL nadal *nic* w III RP nie wiadomo, albo tylko bardzo niewiele.

A była to działalność „potrząsająca” partyjno-państwowymi podstawami RP/PRL!

Tak na przykład, masowe wystąpienia, połączone często z rozlewem krwi, jak „Poznański Czerwiec 1956” czy „Grudzień 1970”, lub niekrwawe, jak „Październik 1956”, „Marzec 1968”, „Czerwiec 1976” czy wreszcie „Lato 1980”, ciągle jeszcze czekają na pełne wyjaśnienie ich *prawdziwego* tła.

Co się tyczy czerwcowych wydarzeń w 1956 r. w Poznaniu (mówił mi to Józef Cyrankiewicz), to były one *sprovokowane* przez „radzieckich towarzyszy”, z którymi współdziałali bez wiedzy cywilnego kierownictwa partyjno-państwowego, także „polscy towarzysze”. A ponieważ nie wszystko przewidziano, to wydarzenia przybrały krwawy charakter (Cyrankiewicz nie był tylko pewny jaki był cel „poznańskich wypadków”). Podobnie Cyrankiewicz mówił o „październikowych wydarzeniach 1956”. Twierdził, że były one niepotrzebne, gdyż powrót Gomułki do władzy „towarzysze radzieccy” *akceptowali* już wcześniej. Przypuszczał, że podobnie jak w Poznaniu, wydarzenia były rezultatem „przepychanek” w kręgach władzy w ZSRR, które w końcu zakończyły się zwycięstwem „linii Chruszczowa” w lipcu 1957 r.

„Marzec 1968” – jak z kolei mówił mi o nich Mieczysław Moczar w dziesięć lat później – był dziełem „chłopaków od Andropowa” (tak dosłownie to określił), a winę za to „*zrzucono na mnie!*” – zakończył.

Na temat „Grudnia 1970” słyszałem wiele relacji od ludzi „wtajemniczonych”, którzy byli zgodni co do tego, że chodziło tutaj o *obalenie* Gomułki, co on sam, swoją porywcznością (poleceniem otwarcia ognia), ułatwił „towarzyszom radzieckim”, którzy mieli go już dość.

A że „*krwi polato się za dużo*” – mówili – to wielka szkoda.

Wypadki z „Czerwca 1976” w opinii „wtajemniczonych” były dla odmiany próbą „towarzyszy radzieckich” *obalenia* Gierka, choć nieudaną, gdyż „nawalić” miał tutaj Edward Babiuch, wymu-

szając cofnięcie ogłoszonych podwyżek cen żywności, co rozładowało napięcie.

Wydarzenia „Lata 80” wreszcie, najbardziej masowe i o znanych konsekwencjach, „wtajemniczeni” *znów* przypisywali „towarzyszom radzieckim”, którym Gierek walnie w tym pomógł swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem. Twierdzili, że „proradziecka grupa” współpracowała ściśle z „towarzyszami radzieckimi”. Ale kiedy część z niej zaczęła wyrażać zaniepokojenie, że strajki szły za daleko i należało siłą położyć im kres, to „towarzysze radzieccy” kategorycznie *sprzeciwiali się* temu.

Czy istotnie wszystko to jest prawdą – trudno powiedzieć (autor w nią wierzy). Faktem jest jednak, że tło wszystkich wspomnianych wydarzeń pozostaje *nadal* niejasne.

Ale, jeśli miałyby to być prawdą, to *jaki* cel mogliby w tym mieć „towarzysze radzieccy”? Podkopywali władzę, którą *sami* stworzyli?

Ależ oczywiście! Rodząca się władza RP/PRL była początkowo bardzo słabą, nie doświadczoną, jak też wahającą się w sięganiu do drastycznych rozwiązań. Stąd Stalin osobiście „rugał” władze PKWN/KRN, domagając się od nich albo „przestawienia się” na bardziej radykalne działania, albo rezygnacji ze stanowisk. Potem „rugającymi”, albo raczej tylko „radzającymi”, były już niższe szczeble, a jeszcze potem zeszło na radziecką „tajną pajęczynę”, która nie „rugała”, ale skutecznie działała. Żeby „ubojować” partyjno-rządowe władze RP/PRL, a przy okazji uczynić je niepewnymi swoich stołków i wewnętrznie je rozbijać, „pajęczyna” *aranżowała* różne wydarzenia, mając za pomocnika peerelowskie „siostrzyce”.

Cel tego rodzaju działalności był zresztą w końcowych latach RP/PRL szerszy.

W początkowym okresie RP/PRL, jakoby „rewolucyjnym” (potem zaczęto mówić o nim jako o „ludowo-demokratycznej rewolucji”), jakkolwiek jedność moralno-polityczna Narodu Polskiego była niemożliwa. Po 1956 r., szanse na taką jedność zaczęły jednakże wzrastać, zwłaszcza za czasów Gierka. PZPR pretendowała do „partii Narodu”, stając się też partią masową, 3,3-milionową, a kraj zaczął „uzachodniać się”.

Trzeba było więc nim „zamieszać”, żeby *rozbić* ewentualną jedność Narodu Polskiego.

I „Lato 80”, zakończone „stanem wojennym”, takie rozbitcie *znakomicie* ułatwiło!

„Zamieszanie” lat 1980-1981, trwające do końca istnienia RP/PRL, miało jeszcze inne zadanie – ułatwienie Moskwie *zagrywania* „niemiecką kartą”. Skłócenie i osłabienie Polaków było jej *konieczne* do tej gry. A ponieważ Polacy *nic* takiego nie podejrzewali, więc tym łatwiej było ich poszczuć na siebie!

Przyjmując, że tak było naprawdę, to demontaż RP/PRL i stworzenie III RP przez ZSRR, albo ściślej jego „kompleks”, zmusza do podejrzeń, czy aby pod nieobecność rozmontowania radziecko-rosyjskiej „tajnej pajęczyny” nie rozpoczął się *nowy* okres „mieszania” Państwem Polskim, tym razem może nawet bardziej perfidnie niż za czasów „wspólnoty socjalistycznej”?

Dlaczego w takim razie IIIRP, jeśli uważa się za państwo w pełni suwerenne, nie rozmontowała dotąd tej „pajęczyny”?

Zakładając, że nawet chciała to uczynić (osobiście w to nie wierzę), to przede wszystkim nic albo bardzo niewiele wiedziała o niej. Kontrwywiad i wywiad RP/PRL miał *zakaz* prowadzenia jakichkolwiek operacji przeciwko ZSRR i sieci jego służb specjalnych na jej terenie, w rezultacie czego została ona rozbudowana do *nieznanych* granic, przenikając dosłownie wszędzie. A ponieważ dziś, nie tak jak w przeszłości, posługuje się ona pieniądzem, a nie ideologią, więc chętnych do współpracy łatwo znajdzie. Rosja ponadto, tak jak ongiś ZSRR, cieszy się sympatią wśród wielu Polaków. Nie bez znaczenia jest też fakt, że ma ona kontakty ze światem przestępczym i może w razie potrzeby posługiwać się nim przy wymierzaniu agentom kary za nieposłuszeństwo i zdradę.

Z drugiej strony, podchodząc do sprawy realnie, III RP, jeśli nawet chciałaby pozbyć się radziecko-rosyjskiej „tajnej pajęczyny” (a co do tego nie ma pewności), to jest *za słaba* na dokonanie tego własnymi siłami. NATO i Unia Europejska zaś, których jest członkiem, teoretycznie mogłyby jej w tym pomóc, ale w praktyce jest to wątpliwe.

Po pierwsze, członkostwo III RP w NATO i Unii Europejskiej *nie jest* zbyt jasne od strony jej motywów, którymi kierowała się przystępując do nich.

Po drugie, obie instytucje mogą *nie chcieć* angażować się w taką pomoc. Wiedzą przecież o uchwale Rady Bezpieczeństwa Rosji z

23 kwietnia 1993 r., która mówi wyraźnie, że Europa Wschodnia (do niej zaliczana jest także Polska) jest jej obszarem „*historycznego zainteresowania*” i że „*nie da się ona z niego wypchnąć*”.

I tak otwartego ostrzeżenia supermocarstwa nuklearnego *nikt* rozsądny nie może sobie lekceważyć!

Zniknięcie więc RP/PRL i narodziny III RP, która jakoby uzyskała „możliwość” stania się w pełni suwerennym Państwem Polskim, to co najwyżej tylko *początek* marszu do takiego celu.

A czym skończy się taki marsz – za wcześniej jeszcze na ostateczne konkluzje.

Rozdział IV

III RP – Czas na przejście do historii!

Nie ukrywam, że III RP nie darzę sympatią. Uchyliła podobno wydany na mnie przez PRL zaoczny wyrok śmierci (za protest przeciwko „stanowi wojennemu”), ale nie przywróciła mi polskiego obywatelstwa (przypadek *jedyny* na dziesiątki milionów Polaków), tak jak praw honorowych. List mój w tej sprawie do prezydenta Lecha Wałęsy *nie doczekał* się odpowiedzi. Nie zwrócono mi też zagrabionego mienia, w połowie własność mojej żony, nie skazanej żadnym wyrokiem PRL. Czyżby więc rosyjskie prawo, że „zdrajcy z radzieckich czasów” są nadal zdrajcami, obowiązywało także w III RP?

Nie z tych powodów jednak wzywam III RP do przejścia do historii. Swoją rolę, tak jak jej poprzedniczka RP/PRL, spełniła już, a resztą niech zajmą się historycy. Do dziś nie jest przecież jasne *jak* doszło do wspomnianych w poprzednim rozdziale więzów III RP ze światem zewnętrznym i czym one są w praktyce. A jeszcze mniej wiadomo jakie były kulisy „ustrojowej transformacji” III RP. I jeśli po szesnastu latach jest to nadal enigmą, to „fora jej ze dwora”!

Ustalenia „Okragłego Stołu” nie zapowiadały narodzin III RP, ani „ustrojowej transformacji”, choć już reformy Rakowskiego były jakby ich zwiastunem. Po częściowo wolnych wyborach z czerwca 1989 r. do reaktywowanego Zgromadzenia Narodowego, wkrótce nastąpił *podejrzany* kryzys wokół wyboru prezydenta i rządu. Ale, Adam Michnik, tak jak w styczniu 1988 r. Bronisław Geremek, który zaproponował zawarcie z władzą „paktu antykryzysowego”, uruchamiającego z czasem „Okragły Stół” – rzucił hasło „Wasz prezydent i nasz premier”! Ciekawe, że obaj, nie

będąc przywódcami „Solidarności”, odegrali w niej *czołową* rolę w przełomowych momentach!

No i Jaruzelski objął urząd reaktywowanej prezydentury, Mazowiecki premierostwo „koalicyjnego rządu”, a Balcerowicz zabrał się do „szokowej terapii” gospodarki.

I na tym był jakby koniec. Prezydentura Jaruzelskiego miała bowiem trwać sześć lat, a kadencja „kontraktowego” Sejmu cztery lata. Ale stało się inaczej i można tylko zapytać, czy dalsza „ustrojowa transformacja” III RP była jej suwerenną decyzją czy ZSRR?

ZSRR, co prawda, nie zaczął na dobre swojej „ustrojowej transformacji” do końca swojego istnienia, pozostawiając ją Rosji, ale na odcinku gospodarczym Gorbaczow przedstawił w lipcu 1990 r. jej główne zarysy na XXVIII zjeździe KPZR. Znał już wtedy (jak znał je też „kompleks wojskowo-policyjny”) wyniki z „doświadczalnego poletka”, jakim była III RP. No i kiedy „transformacyjne” propozycje Gorbaczowa spotkały się z oporem zjazdu, to spośród 4,6 tys. delegatów wybrał najbardziej wpływową grupę „aparaczków” i odbył z nią zamknięte zebranie, na którym wyłożył jej jak wzbogaci się na „transformacji”. W odpowiedzi były oklaski!

„Polskie poletko” zatem, licząc od reform Rakowskiego, działające już przez półtora roku, którego efekty były Moskwie znane, zwłaszcza od strony pomyślnego „samouwłaszczenia” Nomenklatury”, bardzo się jej przydało w odniesieniu do *własnej* Nomenklatury.

Skoro więc III RP miała być dla ZSRR/Rosji „królikiem doświadczalnym”, to *musiała* zaistnieć! A że jej „transformacyjne cele” nie miały nic wspólnego z radziecko-rosyjskimi, to bardzo dobrze! Radziecki, potem rosyjski „kompleks wojskowo-policyjny”, w ramach wspomianej już w innym miejscu operacji „sprzątania wroga” i usypiania czujności USA i reszty NATO, był zainteresowany tworzeniem pozorów demokracji i gospodarki rynkowej. Potrzebne mu to było dla zdobycia zachodniej technologii i kapitałów oraz dla działalności wywiadu. Przy okazji chciał się też pozbyć „bratnich krajów”, a nawet nierosyjskich republik, nad którymi zresztą kontrolę w ten lub inny sposób zachowywał. Wszystko to jednakże trzymał przed nimi w tajemnicy, a sam robił co uważał za konieczne.

A jak bardzo było to prawdą w odniesieniu do „bratnich krajów” niech świadczy fakt, że w lipcu 1990 r. (z mocą od 1991 r.) Gorbaczow wydał prezydencki dekret, który obalił „rubla transferowego” w obrotach pomiędzy krajami RWPG, wprowadzając na jego miejsce obrót wolnodewizowy. Ten niewątpliwie bezprawny i zaskakujący „bratnie kraje” krok, świadczył tylko o tym jak ZSRR *nie liczył się* z nimi! Dlaczego więc miałyby go obchodzić koszty „transformacji” w III RP? Ale za to nic nie mogło się w niej dzieć bez jego wiedzy i zgody.

Narodziny nowego państwa, na jakie ZSRR zgadzał się w Polsce i innych „bratnich krajach”, wymagało jednak istnienia pewnych wstępnych warunków. Normalnie powinno je poprzedzić istnienie *politycznych* partii. Tak było w przypadku II RP.

Ale *jak* było w przypadku III RP?

Z pomysłem jej stworzenia, wyszła formalnie rządząca PZPR, ale faktycznie za budowę III RP wzięła się „kompleksowa” część partii, generałowie Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki, do których dołączył „cywil” Rakowski (podobno powiązany z wojskiem).

Idea „Okrągłego Stołu” wyszła od gen. Jaruzelskiego, formalnie przywódcy PZPR, ale faktycznie głównego „kompleksowca”, zwierzchnika sił zbrojnych, które od „stanu wojennego” stały *ponad* partią. Czy Jaruzelski tylko konsultował swoją ideę z Moskwą czy ona mu ją podsunęła – nie wiadomo. Oficjalnie jednakże, zgodę na start „Okrągłego Stołu” dało X Plenum KC PZPR, odbyte na przełomie lat 1988/1989, aczkolwiek po żartym sporze pomiędzy „kompleksowcami” z „cywilem” Rakowskim, a resztą członków KC (ci ostatni w końcu poddali się po tym jak pewnie Moskwa odmówiła im poparcia).

Po uchwale Plenum KC, „ustrojowa transformacja” ruszyła, a wszystkiego dopilnowywał kolejny „kompleksowiec”, gen. Kiszczak, peerelowski policjant nr 1, w „Okrągłym Stole” główny reprezentant strony „Koalicyjno-Rządowej”.

A jak było ze stroną przeciwną (jeśli nią była naprawdę), „solidarnościowo-opozycyjną”?

„Solidarność” w okresie „Okrągłego Stołu” jeszcze nie istniała formalnie, co stało się dopiero niemal w dwa tygodnie po jego zakończeniu. Odnośnie innych zorganizowanych „opozycyjnych sił”, to przy „stole” ich nie było. Utworzonej we wrześniu/październiku 1979 r. Konfederacji Polski Niepodległej, nie zagłębiając

się w jej rodowód, nie było przy „Stole”, tak jak nie było powstałej w lipcu 1979 r. opozycyjnej *quasi*-partii, Ruchu Młodej Polski, ani wskrzeszonej w listopadzie 1987 r. mikroskopijnej i od początku wewnętrznie rozbitej Polskiej Partii Socjalistycznej. Nie mogło też być powstałej w kwietniu 1989 r. Unii Polityki Realnej.

Dopiero w kilka miesięcy po „Okraślonym Stole”, 28 października 1989 r., powstało Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, ale potem, do 2 maja 1990 r., do utworzenia Porozumienia Centrum o „solidarnościowym” rodowodzie, liczące się partie nie powstały.

Brak zorganizowanych i opozycyjnych partii politycznych, „zasługa” istniejących realiów w RP/PRL, stał się *tragedią* powstającej III RP. Wprowadzanie w niej wielopartyjności, podstawy demokracji, zaczęło się bowiem w sytuacji *monopartyjnych* rządów PZPR i jej niby koalicjantów, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego i trzech *quasi*-partii „postępowych katolików”. A że ZSL i SD z koalicji wyłamały się w sierpniu 1989 r., przechodząc na stronę „Solidarności” (pewnie za namową PZPR), to było to już wtedy bez większego znaczenia. SD, w stanie szczałkowym istniejące do dziś, „transformacyjnej roli” w III RP nie odegrało, podczas gdy ZSL, przefarbowując się na PSL, odegrało dość kontrowersyjną.

PZPR, choć osłabiona, była więc ciągle w „siodle” niemal do końca swojego istnienia i gdyby otrzymała polecenie z Moskwy, że rozpoczętą „transformację” należy zawrócić, to wraz z formalnie podporządkowanym jej rodzimym „kompleksem”, zaprawionym w „stanie wojennym”, uczyniłaby to bez większego trudu.

Do „ustrojowej transformacji” przystąpiono zatem w „starym układzie”, nazwanym „nowym”, ale czym on był, można się było nieco potem dowiedzieć z „listy Macierewicza” i po latach jeszcze z „listy Wildsteina”, choć obu tym „listom” daleko jest do całej prawdy.

III RP, co więcej, rodziła się w warunkach *politycznej* apatii społeczeństwa. Frekwencja wyborcza w czerwcu 1989 r. wyniosła tylko 62 procent, wskrzeszona „Solidarność” była cieniem tamtej z lat 1980/1981, a co gorsza uważała, że partia była jej niepotrzebna. „Solidarnościowy” Obywatelski Klub Parlamentarny partią nie był, a nowoutworzone Porozumienie Centrum zaangażowało się na całego w lansowanie Wałęsy na prezydenta, co z kolei

nie podobało się części „Solidarności” i premierowi Mazowieckiemu. A ponieważ PC zaatakowała go personalnie, więc w odpowiedzi, w lipcu 1990 r., powstał ROAD, Ruch Obywatelski-Akcja Demokratyczna, z którego następnie wyłoniła się Unia Demokratyczna, przemianowana potem na Unię Wolności. W 1992 r. z łona „Solidarności” wyszła jeszcze Solidarność Pracy, późniejsza Unia Pracy.

Zamiast więc stać się *czołową* siłą w III RP, „Solidarność” okazała się niezdolną do wyłonienia ze swoich szeregów jednolitej partii, uniemożliwiającej jej polityczne rozbitcie.

Klęska „Solidarności” na tym polu została następnie spotęgowana prezydencką kampanią wyborczą jesienią 1990 r., w której dwóch „solidarnościowców”, Wałęsa i Mazowiecki, skoczyli sobie do gardeł! Wybór Wałęsy na prezydenta „solidarnościowym siłom” blasku nie dodał, a już kropką nad „i” było obalenie w maju 1993 r. „solidarnościowego” rządu Suchockiej przez „solidarnościowych” posłów!

Efektom tego wszystkiego było zwycięstwo w jesiennych wyborach w 1993 r. do Zgromadzenia Narodowego postkomunistycznej koalicji, Sojuszu Lewicy Demokratycznej, a w dwa lata później zwycięstwo jej przywódcy Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich.

W konsekwencji tego, scena polityczna w III RP dokonała obrotu o 180 stopni. Prawdziwy jej twórca bowiem, PZPR-*cum*- „kompleks”, z Moskwą w tle, po przejściowej porażce (pezetperowskiej, nie „kompleksowej”), znów powrócił do władzy, choć w innej szacie.

Powstaje więc pytanie, czy „Solidarność” była istotnie niezdolna do wyłonienia ze swoich szeregów wiodącej siły politycznej w III RP czy zadziałały tu jakieś „podskórne” siły – „tajna pajęczyna”?

Na to pytanie *nadal* nie ma odpowiedzi. Jeśli bowiem jest prawdą, że Wałęsa był esbeckim agentem, to *wszystko* jest możliwe.

O ile jednak III RP nie ma „czystej hipoteki” w sprawach politycznych, to w sprawach gospodarczych jest ona wręcz *dy-skwalifikująca* ją od „A” do „Z”!

Rozpoczęty przez nią proces przemian na odcinku gospodarczym, pozbawiony dozoru politycznego, stał się *żywiłowy* i III

RP zaczęła dryfować. Socjalizmu całkowicie nie pozbyła się, a kapitalizmu też zbudować nie może. Kierownictwo państwa faktycznie *nie posiada* instrumentów sterowania gospodarką, gdyż zonglerka stopami procentowymi i podatkami nie wystarcza. Godnego zaś uwagi kapitału rodzimego, mogącego być jej pomocą, nadal nie ma, a kapitał obcy Polską nie bardzo się interesuje. A jeśli już, to dba wyłącznie o własne interesy, podczas gdy zachodnie rządy Polską nie zwracają sobie głowy. Coś tam jeszcze Unia Europejska ma podobno wesprzeć III RP swoją sakiewką, ale jak z tym będzie w rzeczywistości – zobaczymy.

Co najważniejsze, „niewidzialna ręka rynku”, w której tyle nadziei pokładała III RP, zawodzi. Jej zaś „widzialne efekty”, to masowe bezrobocie, pauperyzacja i silne rozwarstwienie dochodowe społeczeństwa, krach dostępnego dla przeciętnych ludzi budownictwa mieszkaniowego i załamująca się powszechna ochrona zdrowia. Efekt tego jest zaś taki, że młodzi Polacy, nie widząc dla siebie żadnych perspektyw w rodzimym kraju, opuszczają go, co w sytuacji wymierania Narodu, graniczy z jego samobójstwem.

System gospodarczy, którego dorobiła się III RP, choć nie całkiem identyczny jak w Rosji, gdzie według Grigorija Jawlińskiego, przywódcy partii liberalnej „Jabłoko”, jest on „bandyckim kapitalizmem”, jest do dna skorumpowany, zżerany niezliczonymi aferami, a na dodatek jest powiązany ze światem przestępczym i obcym wywiadem, rosyjskim, jak to wynika z różnych oficjalnych źródeł. Nic dziwnego więc, że jest on *niezdolny* do rozwiązania coraz liczniejszych wyzwań własnymi siłami. Wiara, że Unia Europejska i obcy kapitał dokonają cudów i Polska ruszy z kopyta, jest tak samo naiwna, jak był nią zbawczy niby „skok w rynek”.

A że tak właśnie będzie – było przecież do przewidzenia!

Prawda, praktykowany w powojennej Polsce socjalizm, z różnych przyczyn, nie zdał egzaminu. Postawienie jednak na kapitalizm, w „społeczeństwie bez kapitału”, było *nieodpowiedzialnym* przedsięwzięciem, gdyż kapitalizm przeżywa kryzys. W USA, jego twierdzy, płace realne *nie rosą* od 1972 r. i to pomimo zadłużania się kraju w tempie 2 mld dolarów dziennie! Bez tego, płace realne spadłyby. W najbliższym 25-leciu mają wzrastać tylko o 1 procent rocznie, ale i to *nie jest* pewne. Historią jest też japoński

„cud gospodarczy” i innych krajów zachodnich, a świat zachwyca się za to „cudem gospodarczym” *komunistycznych Chin!*

Niestety, ani przy „Okragłym Stole”, ani potem na żadnym innym forum w III RP, nie było nawet prób zastanowienia się, czy aby obierana „wolnorynkowa” droga rozwoju jest dla niej właściwa. Pomijając już fakt, że nawet w USA wolny rynek dotyczy tylko 60 procent gospodarki, a w innych krajach zachodnich co najwyżej połowy. Stawiając zatem na taką drogę rozwoju, III RP podjęła się ogromnego ryzyka. Nigdzie w świecie wolny rynek nie powstawał z dnia na dzień i *nigdzie* zresztą w pełni nie powstał. A jeśli powstawał, to przy aktywnej roli państwa, które tworząc sprzyjający mu system prawny, broniło rynku przed... rynkiem! Wolna konkurencja bowiem, jego główna cecha, prowadzi do jego samozagłady w wyniku procesu monopolizacji produkcji. Do tego jednak *nie dopuszcza* państwo. Stąd też głosy podnoszone w III RP i wśród Polonii, że państwo należy „przegnać z gospodarki”, graniczyły ze skrajną ignorancją!

Zupełną już nieodpowiedzialnością była obłędna prywatyzacja własności społecznej.

Przede wszystkim, nie jest prawdą, że własność prywatna jest podstawowym gwarantem efektywności gospodarczej. O ile prawdą może to być w rzemiośle, wolnych zawodach oraz w drobnej wytwórczości rolniczej i nierolniczej, to w „ekonomii masowej produkcji”, dominującej w rozwiniętym świecie, własność prywatna *nie jest* jej niezbędnym warunkiem. Wielkie firmy kapitalistyczne są od tej własności na co dzień oderwane i swoim funkcjonowaniem przypominają państwowe, gdzie *decydujący* głos mają menadżerowie.

Na co więc liczyła III RP, mając ledwie zielone o tym pojęcie?

Proces „dzikiej prywatyzacji” majątku narodowego, na jaki więc rzuciła się w warunkach braku rodzimego kapitału, z góry *powinien* zakładać jego rozkradanie przez starą i nową Nomenklaturę. Reszty dokonało *wyprzedawanie* go obcemu kapitałowi, często za bezcen. Proceder ten, połączony z pędem do zysku za wszelką cenę, z jednej strony *musiał* doprowadzić do ostrych cięć w zatrudnieniu i zubożenia większości społeczeństwa, a z drugiej do akumulacji bogactwa nielicznej grupy. W konsekwencji tego doszło do *radykalizacji* nastrojów społeczeństwa o trudnych do przewidzenia skutkach.

Co się tyczy przestępczej roli starej i nowej Nomenklatury w tym procesie, co znalazło swój wyraz w skorumpowaniu nowopowstałego systemu społeczno-gospodarczego w III RP, to na zjawisko to należy spojrzeć od strony jego obiektywnych przyczyn.

Nomenklatura istnieje również na Zachodzie. Mimo jej wewnętrznego podziału politycznego, jest ona jednak niezwykle solidarna w obronie interesów własnych i stąd zmiana ekip rządzących w państwie *nie zagraża* jej uprzywilejowanemu statusowi w społeczeństwie. III RP jednakże, zabierając się za „ustrojową transformację”, uderzyła w szeroko pojętą Nomenklaturę, czyli rozbudowany aparat władzy *wszystkich* szczebli, który dotąd miał gwarancję dożywotniej i niezłej egzystencji. Polityka kadrowa PZPR dbała o nią, a z wielu względów była to *stuszn*a linia postępowania z punktu widzenia interesów państwa.

W III RP, zabrakło takiej ciągłości polityki kadrowej, gdyż kolejne ekipy u władzy ciągnęły za sobą „swojaków”. Aparat władzy w tej sytuacji, niepewny swojej egzystencji (poza jego „samouwłaszczeniową” częścią, która szybko wzbogaciła się), zaczął więc w trosce o własny byt korzystać z *wszelkich* nadarzających się okazji, aby go sobie zapewnić. W efekcie tego, powstała *zinstytucjonalizowana* baza dla korupcji. Dodatkowo o tyle groźna, że o ile zatrudnienie w III RP zmniejszyło się, to aparat władzy *nieustannie* ilościowo wzrasta.

Nie było zatem w III RP jakiejś innej od obranej drogi „ustrojowej transformacji”, niż demokratyczno-kapitalistycznej?

Co się tyczy demokracji, która w III RP jest co najwyżej „głosującą demokracją”, to jej perspektywy nie są jasne, jak zresztą wszędzie w świecie, gdzie demokracja, po chwilowo triumfalnym marszu, znalazła się ostatnio w odwrocie, Zachodu nie wyłączając. Siłą, jak próbują to USA na Bliskim Wschodzie, nie pójdzie ona do przodu, a czy innymi drogami wznowi swój marsz – trudno powiedzieć. Jeśli jeszcze międzynarodowa sytuacja zaostrzy się, wojny światowej nie wyłączając, to perspektywy demokracji stają się tym bardziej niepewne, w III RP nie wyłączając. Zwłaszcza, że większość Polaków demokrację utożsamia ze sprawiedliwością społeczną, a takiej nie widzi, choćby ze względu na *rażącą nierówność* w dochodach.

Co się z kolei tyczy społeczno-gospodarczej strony „ustrojowej

transformacji” w III RP, to co *powinna* była zrobić, a czego nie zrobiła?:

Po pierwsze, „okrągłostołowa” komedia, gdyż inaczej nie można nazwać tego widowiska, pod względem gospodarczym nic nie dała. Tylko *niewielka* część „okrągłostołowych” ustaleń, wcale nie najważniejsza, doczekała się jakiejś takiej realizacji, a o reszcie, mało zresztą realistycznej, zapomniano. W sumie więc, była to *strata* czasu.

Po drugie, skoro już w końcowym okresie RP/PRL i na początku rodzenia się III RP zabrano się za „ustrojową transformację”, to dlaczego wybrano skrajne rozwiązania? Nie było już *pośredniej* drogi, tylko albo „socjalizm” albo „kapitalizm”? Akcjonariat pracowniczy, a nade wszystko spółdzielczość, nie mogły być *alternatywnym* rozwiązaniem? Aż dziw bierze, że „Okrągły Stół” właściwie słowem *nie zająknął* się w tej sprawie! Nie wiedziano, że w spółdzielczości na przykład, mariażu koncepcji utopijnych socjalistów i chrześcijańskiego solidaryzmu, Polacy mają bardzo długie tradycje i *pozytywne* doświadczenia, których nawet socjalizm nie unicestwił? Przysłuchujący się obradom „Stołu” przedstawiciele Kościoła nie wiedzieli, że pierwszym spółdzielcą na ziemiach polskich, jeszcze w 1816 r., był ksiądz Stanisław Staszic, a duchowni katolicycy byli jednymi z głównych promotorów spółdzielczości? Naród Polski, żyjący „od wypłaty do wypłaty”, na progu „ustrojowej transformacji” należało chronić i organizować, żeby SPOŁEM stawał czoła bezwzględny prawom rynku, a *nie* rzucać go na jego pastwę!

Po trzecie, „ustrojowa transformacja” nie powinna była stawiać na kryterium zysku, wątpliwe zresztą w istniejących warunkach polskich, jako na jej naczelny cel. Celem naczelnym powinna była być *ochrona* pracy, głównego bogactwa narodowego! Polacy byli ponadto za biedni, żeby ich wyrzucać na bruk przy *braku* perspektyw znalezienia nowej pracy!

Po czwarte wreszcie, w trakcie „transformacji” potrzeba było większej, a nie mniejszej regulującej roli państwa! Powinno ono *nie pozwolić* na wyciek kilkunastu miliardów „pończochowych dolarów”¹⁾ za granicę (nikt nie wie ile), które wydano bezmyślnie

¹⁾ Do „pończochowych dolarów” nie zaliczano ok. 6 mld dol. ulokowanych na indywidualnych kontaktach w bankach PRL.

i jeszcze przepłacono, dokonując zakupów alkoholu, papierosów i innych artykułów zbytku, zamiast je wydać na *produkcyjne* cele! Teza, że takim konkurencyjnym „importem” zmuszano rodziną produkcję do większego wysiłku – była bzdura! Przedsiębiorstwom produkcyjnym brakowało kapitału, nowoczesnej technologii, paliw, surowców i lepszej organizacji pracy, a nie „importowej pałki” i „popiwku Balcerowicza”! O tym jednak nie pomyślano, walcząc z „produkcyjnymi molochami”, aż zaczęły padać jeden po drugim.

I tak III RP, swoją bezmyślną „ustrojową transformacją”, ciężko zraniła swój potencjał produkcyjny, w efekcie czego industrializacja kraju zaczęła się cofać. Tragedia narodowa!

O NARODOWY FRONT PRACY!

Zbliżające się wybory do Zgromadzenia Narodowego i prezydenckie²⁾ są już *ostatnią* szansą, żeby położyć kres wyborcom i III RP i wprowadzić kraj na drogę przyspieszonego i wszechstronnego rozwoju, likwidującego skutki jej dyletanckiej polityki na każdym odcinku, szczególnie społeczno-gospodarczym.

W rozchwianym państwie, nie panującym nad sytuacją, z „nieformalnymi układami” u władzy, hybrydą służb specjalnych, świata przestępczego i obcych wywiadów, rosyjskiego zwłaszcza, realizacja takiego zadania *nie jest* łatwa. Gdyby jeszcze partie polityczne były z prawdziwego zdarzenia, a takimi nie są, to zadanie byłoby łatwiejsze.

Ale partie *można* zmusić do służenia Narodowi! Wyborcy *muszą* podnieść swój głos i wykrzyknąć partiom politycznym, czego od nich oczekują!

Lista żądań nie musi być długa. W konkretnych warunkach polskich, powinna ograniczyć się tylko do *jednego* żądania, którego spełnienie rozwiąże dziesiątki innych.

Żądaniem tym powinno być **ZLIKWIDOWANIE BEZROBOCIA!**

Nie do zera, gdyż jest to niemożliwe, ale do poziomu, żeby

²⁾ W chwili pisania niniejszego tekstu data ich nie jest jeszcze znana.

bezrobocie przestało być odczuwalnym problemem społeczno-gospodarczym i politycznym. Nie może przecież być tak, że mimo niezłego ostatnio tempa wzrostu, bezrobocie, po chwilowym spadku poniżej 3 milionów (naprawdę 4-5 milionów), znów przekracza ten poziom i pnie się do góry. Nie może też być tak, żeby tylko 52 procent Polaków było zawodowo czynnych, wobec 64 procent w innych krajach Unii Europejskiej i 80 procent w Islandii! Dość już oczekiwać, że „niewidzialna ręka” rynku wyzwoli Polaków od latami gnębiącej ich zmyry bezrobocia! Nie wyzwoli, ale wpędzi w jeszcze większe, w miarę jak będzie globalizować się gospodarka światowa.

Jeśli zatem „niewidzialna ręka” rynku nie zlikwiduje bezrobocie, to kto?

Sami Polacy! Likwidacja bezrobocia, choć jest to wyzwanie o ekonomicznym wymiarze, jest przede wszystkim *politycznym* wyzwaniem, gdyż aż 90 procent Polaków uważa bezrobocie i strach przed utratą pracy za problem Nr 1! Należy więc zmobilizować *wszystkie* siły Narodu do walki z bezrobociem. Do tego jednak jest potrzebna *polityczna* wola Narodu, ucieleśniona w działaniu partii i innych organizacji masowych. Jeśli obecna niemal dziesiątka liczących się w III RP partii politycznych nie podejmie się takiego dzieła, to niech jej miejsce zajmą nowe partie! A jeśli jest na to za późno, to spontanicznie rodzony ruch masowy, „Narodowy Front Pracy”, czy coś w tym rodzaju, gdzie nie byłoby wątpliwości co jest jego głównym celem. A celem tym powinna być „PRACA DLA KAŻDEGO POLAKA”!

Utopia? Nic podobnego! W historii znane są przypadki, że *politycznie* zmobilizowany do czynu naród dokonuje cudów. Polacy, odbudowując Warszawę, dali przykład takiego cudu.

Co więcej, gdyby istniejące w III RP partie polityczne, jeśli takimi istotnie są, a nie „politycznymi koteriami”, miały na sercu dobro Narodu, a nie własne interesy, to same *powinny* utworzyć „Wielką Koalicję do Walki z Bezrobociem”.

A jak „Front” czy „Koalicja” miałyby działać?

Ich działanie musiałyby nosić *rewolucyjny* charakter. Nic, co stanie na ich drodze, czy to ideologia, „wielka polityka”, istniejące ustawy, prawo czy wreszcie zobowiązania międzynarodowe, nie mogłyby pozostać *nienaruszalne* w tej sytuacji! Sprawy doszły

bowiem do takiego punktu, że należy je rozwiązywać *nadzwyczajnymi* środkami!

Co się zaś tyczy tych środków, to wyliczanie ich nie ma sensu, gdyż zależeć one będą od stosunku sił prących do zmiany istniejących porządków w III RP, do sił chcących je zachować.

Innego wyjścia nie ma. Jeśli bowiem zarówno w obecnych partiach politycznych, jak i w społeczeństwie nie zrodzi się silny nacisk na zmiany, to obecny marazm *utrwali się* i Polacy będą nadal żyć w sytuacji „jakoś tam będzie”.

Gdyby jednak było inaczej i Polacy powiedzieli „Dość!”, to III RP *przejdzie* do historii.

Ale też niech jej miejsca, jeśliby do tego doszło, nie zajmie aby IV RP!

Polacy powinni swoją Ojczyznę nazywać po prostu „POLSKA”, wolną od dodatkowych nazw, zwłaszcza numerowanych! „Rzeczpospolitowych” Państw Polskich było, tak na dobrą sprawę, więcej niż trzy i nie szło im najlepiej.

Najwyższy więc czas skończyć z „rzeczpospolitową” tradycją! Wziąć się natomiast trzeba za zbudowanie takiej POLSKI, w której Jej dzieci miałyby pracę, nie grzebały za jedzeniem po śmietnikach i żeby na każde z nich przypadała choćby tylko jedna izba mieszkalna.

Żeby to osiągnąć, Polacy *muszą* mieć pracę! Praca jest ich największym bogactwem, którego nie wolno im zmarnować!

Problem pracy w Polsce musi być więc rozwiązany i to dziś, gdyż jutro może być na to już za późno.